

W fabryce zdrowia

O ludziach — dla ludzi

Edmund Pestka siedział pochylony nad ogromnym arkuszem papieru, pokrytym kolumnami liczb:

- „więc ile mamy glucovitu?”
- Cztery osiemset.
- A eufyliny?

Przysłuchiwałem się rozmowie, ciemny jak tabaka w rogu: — o co tu właściwie chodzi? Glucovit, eufylina — to środki na serce. Planujeć więc... większe przypadłości sercowe ludności w 1965 r.?

— Nie ma się czemu dziwić, redaktorze, to przecież problem światowy, naszego wieku. Z tych środków to i my czasem korzystamy. Zwłaszcza teraz, przy końcu planu i roku...

Kierownik działu zbytu i eksportu „Polfy” zdradził jednak w moich oczach swój zakład, bo dla odprężenia, zamiast uspokajającego ataraxu, poczęstował mnie — prawdziwą kawą.

Czteromiesięczny, ciężki dla zakładów problem uruchomienia nowej produkcji na specjalne życzenie zagranicznego odbiorcy, rozwiązany już szczęśliwie w innych działach, dotarł właśnie niczym wysoka fala do działu zbytu. Trzeba rozładować spiętrzenie ekspedycji wielomilionowej przesyłki. Dali sobie radę dwaj młodzi inżynierowie z automatem, poradziły kobiety zwiększonej produkcji, musza podołać i oni, choć do wysyłki pozostały jeszcze 4 wagony, cały milion opakowań leku.

Ciasne pomieszczenia oddziału „D” Poznańskich Zakładów Farmaceutycznych „Polfa” rozsiewają charakterystyczny zapach specyfiku.

Kobiety ubrane w białe kitle i czepki, uwijają się wśród wielkich naczyń niby dzieł, wokół maleńkich stołów i trzaskających nieustannie maszyn. Oto czoparka: formuje automatycznie 16 000 sztuk na godzinę. Potem 8000, sztuka po sztuce w jedną godzinę przesuwa ręcznie po stole pakowarki Bożena Nowakowa, lub koleżanki z innych zmian. Niezwykle tempo, które łatwiej przyszło opanować ludziom, niż wysoko sprawnym urządzeniom. I tak już od miesiąca, do końca grudnia. Od 13 listopada trwa ambitny zryw załogi „Polfy” z oddziału „D”, co jeszcze w sierpniu wydawało się niemożliwe do osiągnięcia.

Dyrektor dr Leon Pawełczyk mógłby dzisiaj popatrzeć z góry na tych wszystkich niedowiarków, którzy w dyskusjach przy śniadaniu, na Samorządzie Robotniczym powątpiewali w powodzenie całego przedsięwzięcia. Dyrektor „Polfy” nie kpi jednak teraz z nikogo, bo sam wie, że jego decyzja była diabelnie ryzykowna. Więc dzisiaj nikomu nie świeci w oczy swoim cichym triumfem. Sam mówi, iż to nie jego zasługa: on nie grał bynajmniej w totalizatora, po prostu znał swoich ludzi, którzy jak zwykle nie zawiedli w decydującej chwili.

W sierpniu nadeszła duża oczekiwana czoparka, jedyne tego rodzaju urządzenie w Polsce, sprowadzone z Mediolanu. Kleli wszyscy w żywy kamień, bo przyszła akurat o kwartał za późno, lub o pół roku... za wcześnie. Za późno było przecież, żeby zmontować cały automat, uruchomić go i jednocześnie — w kilku miesiącach — dostarczyć zgodnie z planem 20 mln. sztuk zamówionego przez ZSRR lekarstwa.

Ostrożni — pomni trudności z podobnym, a łatwiejszym urządzeniem montowanym przez rok w Czechosłowacji — radzili sprowadzić z Włoch fachowca, który by nadzorował montaż. Dyrektor uparł się jednak, żeby zarządzić własnymi siłami. Szkoda mu było dewiz na opłacenie zagranicznego fachowca. Zresztą znał automaty, twierdził, że Wagrowski i Kołodziejczyk potrafia zastąpić obcych specjalistów.

Młodzi wiekiem i stażem, a starsi z racji pełnionych funkcji inżynier mechanik Zygmunt Wagrowski i inżynier energetyk Jerzy Kołodziejczyk udowodnili, iż nie za darmo brali on „Polfy” stypendium podczas studiów na Poznańskiej Politechnice.

Na pierwszy pomysł wpadł Wagrowski. Zaproponował, aby na początek uruchomić... ręczną produkcję. Po trudnych obliczeniach wykonano dla „Polfy” formy z polistyrenu. Zalewano je ręcznie i rozkładano na zwykłych stołach. W ten sposób wyprodukowano prawie 7 mln sztuk globulek, zanim ruszył włoski automat. Te formy służyły także i dzisiaj, bo niezwykle trudno dogonić „Polfie” kwartał, którego zabrakło jej w kalendarzu.

Ledwie inżynierowie, mechanik Gorczyzak i mistrz Janusz Strus uporał się z montażem czoparki, zaczęły się kłopoty z dostrojeniem u-

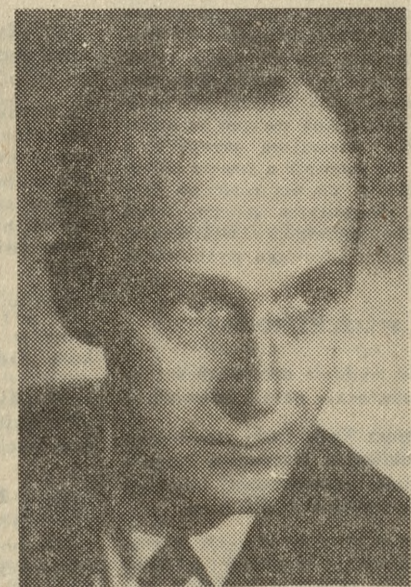
ządzenia. Dyrektor sam już zaczął wtedy wątpić w realność zamierzenia. Ale inżynierowie — jakby to było w schematycznej powieści — podsunęli na czas drugi oryginalny pomysł usprawnienia pracy maszyny. Dzięki temu zmniejszyło się wkrótce brakoróbstwo niesfornej maszyny, zwiększyła ona swą wydajność. Automat zaczął pracować na maksymalnych, wyliczonych tylko teoretycznie, obrotach. Wtedy przyszła pora na zwiększenie ilości przygotowywanego dla niej surowca. Zajął się tym kierownik oddziału mgr Czesław Szulc i mgr Jerzy Rychlik, z pomocą przyszedł mgr Michał Wentzel.

Inżynierowie znów pomagali coś przy pakowarkach, zmuszając je do przekroczenia granicy wydajności. Zagrały więc wreszcie wszystkie instrumenty. Teraz szło o ludzi. Stanęły przy maszynach wybrane, najofiarniejsze, najstarsze stażem pracownice ze zmian Haliny Skrzypińskiej, Benigny Kot i Heleny Kalki. Preparatu dostarczali ludzie ze zmian Karola Świerza i Mariana Raszka. Wszyscy oni przejęli teraz na siebie cały ciężar produkcji. Pani Kalkowa rozczarowała się — jak sama mówi — do zachwalanych zagranicznych urządzeń. Przekonała się natomiast, że niezawodni są jedynie ludzie, jak choćby z jej zmiany. Słuszne przekonanie Kalkowej napawa optymizmem, ale nie usypia wspólnych założeń ambicji i niepokoju. Ludzie z „Polfy” są ambitni. Na obecnych, starych śmieciach, rozrzuconych w pięciu oddziałach na pięciu krańcach miasta, osiągnęli już w ubiegłym roku poziom produkcji przewidziany pod koniec tej pięciolatki. Ale — to koniec obecnych możliwości. To właśnie niepokoi załogę. Liczy więc ona na nowy zakład.

Nowe obiekty „Polfy” powstaną w 1968 roku. Wtedy pracować będzie dwa razy większa załoga, produkcja powiększy się dwadzieścia razy i poznańska „Polfa” dostarczać będzie jedną czwartą wszystkich polskich farmaceutyków! To będzie złoty wiek dla Zakładów. Kwartał na produkcję zwróci im wszystkie koszty nowej inwestycji, przy niesie też sporo dewiz gospodarce.

Poznańskie leki: czopki, globulki, preparaty witaminowe, antybiotyki, pabialgina i przede wszystkim specjalność — catgut — nici chirurgiczne, to wysoka klasa wyrobu. Polskie farmaceutyki zyskały już markę w świecie. Niektóre produkty poznańskie trafiają obecnie do ZSRR, Arabii Saudyjskiej, Nigerii, Pakistanu. Wygrywają konkurencję wysoką jakością specyfiku, który wzmacnia siły, zabija chorobę, daje zdrowie. Ta wysoka jakość, to równa zasługa naukowców Akademii Medycznej, Instytutu Farmaceutycznego w Warszawie, własnych naukowców z laboratorium „Polfy” jak i jej szeregowych pracowników, kobiet, które seryjnie produkują... zdrowie.

Poznańscy pisarze



Z życia Przemysław Bystrzycki. Z życia Przemysław Bystrzyckiego zapoznawałam się nad... mapą świata. Stuchano się tego trochę tak, jak słów płynących z ekranu, podczas projekcji filmu sensacyjno-przygodowego, z czasów ostatniej wojny. Ona to właśnie wciągnęła młodego ochotnika formujących się

tygodnia

ODDATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 168

3. I. 1965

Rok V

ANTROPOLOGIA RASIZM KOGYZYSTENCJA

Mówi docent Andrzej Waliński, kierownik Zakładu Etnografii Ogólnej i Socjologii Ludów Afrykańskich Uniwersytetu Jagiellońskiego.

— Zawsze sądziłam, że antropologia to nauka o budowie kości, o układzie czaszki, kończym, kręgow, czyli o budowie fizycznej człowieka.

— Tą dziedziną zajmuje się antropologia fizyczna. Ja reprezentuję inny jej kierunek, a mianowicie, antropologię społeczną lub kulturową.

— Jaka między nimi różnica?

— Anglicy żartobliwie dzielą naukę o człowieku na „stones, bones and fairy stories” (kamienie, kości i fantastyczne bajeczki). W tym lapidarnym skrócie archeologię reprezentują kamienie, antropologię fizyczną — kości, a całą domenę humanistyki — fantastyczne bajeczki!

— Więc pański gatunek archeologii zalicza się do nauk humanistycznych?

— Tak, ale badanych metodami przyrodniczymi, opartymi na obserwacji i doświadczeniu. Niezależnie zresztą, od metod historycznych, które również muszą być uwzględnione.

— Zanim przejdziemy do metod, co jest przedmiotem antropologii społecznej?

— Wytwory działalności człowieka: materialne — a więc zagadnienia gospodarcze, społeczne — a więc instytucje, i duchowe — a więc filozofie, ideologie i religie.

— Zatem wszystko?

— Wszystko to, co najogólniej można nazwać kulturą.

— Termin „kultura” jest tu więc szerzej pojęty niż w sensie potocznym?

— Niewątpliwie tak!

— Z podłoża antropologicznego wyrósł rasizm. Wyrósł także „filozofie” jakie, na przykład, reprezentował hitlerizm...

— Nic podobnego! Rasizm wywodzi się z postawy etnocentrycznej. Z wypaczonej, powiedziałbym nawet, sprostytuowanej nauki.

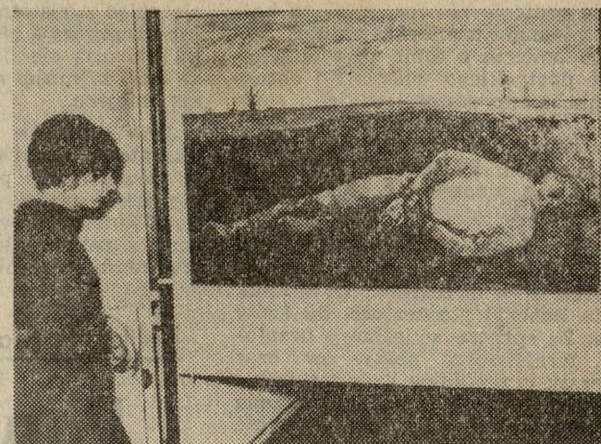
— Na czym to polega?

— Na uznawaniu wszystkiego, co nie jest takie jak „ja”, za złe, wrogie, co zatem trzeba zniszczyć. Postawa antropologiczna natomiast jest prze-

Z wystawy XX-lecia

Podczas swego niedawnego pobytu w Poznaniu marszałek Marian Spychalski zwiedził ekspozycję w „Arsenale” wystawę „20-lecie PRL w twórczości plastycznej”, zakupując kilka prac poznańskich artystów dla zbiorów Ministerstwa Obrony Narodowej i Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Zbiory tego Muzeum powiększą się o prace graficzne Fr. Burkiewicza, A. Kandziory i H. Polańskiego, o medaliony J. Kopczyńskiego oraz obraz R. Skupina z cyklu „Krajobrazy zwycięskiego Wehrmachtu” zatytułowany „Zbrodnia doskonała”. Przy okazji warto przypomnieć, że dalsze prace poznańskiego artysty — laureata nagrody Ministra Kultury i Sztuki zakupione zostały niedawno przez Muzeum Narodowe w Warszawie, Muzeum Historii Ruchu Robotniczego oraz CBWA — z myślą o ekspozycji ich na wystawie plastyki krajów socjalistycznych w Pradze. Ostatnim wreszcie z licznych w ubiegłym roku sukcesów artystycznych R. Skupina jest wyróżnienie jego obrazu pt. „Rurociąg przyjaźni” — na ogólnopolskim konkursie CRZZ, zatytułowanym „Człowiek i praca”. Na zdjęciu: zakupiony przez Marszałka obraz Ryszarda Skupina pt. „Zbrodnia doskonała”.

Fot. — K. Przychodzki



ciwstawieniem postawy etnocentrycznej.

— Dlaczego?

— U jej podstaw leży inna treść. Głęboko humanistyczna. Chęć zrozumienia innego człowieka, innej społeczności. Leży ufnosć...

— Pojęcie ufnosci nie kojarzy mi się z pojęciami naukowymi. Z jakiego tytułu ufnosć?

— Z tytułu przynależności do rodzaju ludzkiego. W praktyce wyraża się to, że zacierpnę przykładu ze współczesnej rzeczywistości, ideami kognizystencji. Nie przesadzę, gdy powiem, że u podstaw założeń ONZ leżą przesłanki antropologiczne.

Z pracowni naukowych

— Mówił Pan, że antropologia społeczna, czyli nauka o kulturze, posługuje się metodami stosowanymi przez przyrodników. A więc bierze się przedmiot badania...

—... poddaje się go ścisłej obserwacji i na jej podstawie buduje się wnioski uogólniające. To samo dokładnie zachodzi z antropologią społeczną. Przedmiotem badania są małe, zamknięte społeczności prymitywne. Antropolog musi wśród badanej społeczności żyć i obserwować wszelkie przejawy jej działalności. Twórcą tego typu badań był Polak znany uczony, profesor uniwersytetu w Londynie, Bronisław Malinowski.

— I autor głośnej u nas książki „Życie seksualne dzikich”, której pan jest tłumaczem.

— A także jego uczniem. A co do książki, wielu czytelników sugerując się tytułem, szukało w niej dreszczyku i doznało rozczarowania. Bo książka jest właśnie niczym in-

nym, jak klasycznym przykładem metody badawczej, o której mówieliśmy. Jest rezultatem długich obserwacji ludów Melanezji w ich codziennej działalności.

— Ale jak się to wszystko ma do wspomnianej przez pana przydatności antropologii społecznej do takich pojęć jak kognizystencja?

— Antropologia społeczna, określając świat potrzeb i świat wartości danej społeczności, daje możliwość znalezienia środków należytego zaspokojenia. A chyba właśnie niewłaściwy stosunek między światem potrzeb a możliwościami ich zaspokojenia, dysharmonia między celem a środkami, leży u podstaw wszelkich ludzkich konfliktów. W chwili obecnej Afryka jest klasycznym terenem, gdzie przydatność antropologa w rozwiązywaniu kłębówiska jej problemów jest specjalnie uzasadniona.

— Dlaczego?

— Bo Afryka robi gwałtowne salto, i to w skali masowej, jakiej chyba nigdy nie znały dzieje ludzkości. Bo przetrwała się z jednej formacji społecznej do drugiej, bo szczepy zmieniają się w narody, bo... Weźmy choćby taki przykład: w głębi buszu, w społeczeństwie pierwotnym, buduje się nowoczesną fabrykę. Nie zatrzymuje się na nowym, jakie dla danej społeczności niesie technika. Chodzi mi o nowe stosunki społeczne, nowe zestawy wartości, jakie na tym tle powstają. Choćby normowana praca, wynagrodzenie pieniężne, konieczność zmiany trybu życia. W tej sytuacji „czysta” ekonomia czy „czysta” polityka nie wystarczą. Zarówno ekonomista, jak i polityk, by zachować proporcję między światem potrzeb, a ich zaspokojeniem, by zapewnić skok w możliwie harmonijny sposób, winien uwzględnić wyniki badań antropologa.

Rozmawiała:

EWA BERBERYUSZ

PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI

w ZSRR wojsk polskich — w wir wydarzeń, które zostawiły swój trwały ślad i w psychice i w twórczości Bystrzyckiego. Ze Związku Radzieckiego jego szlak żołnierski wiódł do Persji i Palestyny, gdzie ukończył podchorążówkę, której absolwenci skierowani zostali do Anglii, jako uzupełnienie tamtejszych polskich sił zbrojnych.

Pragnąc jak najszybciej dostać się do kraju, Bystrzycki rozpoczyna szkolenie w specjalnych grupach, przygotowywanych do zrzutów spadochronowych w Polsce. Pojechał nad Polskę jako jeden z 245 przeszkolonych, z których 33 procent zginęło. Zaraz po wojnie przejechał do Poznania, gdzie ukończył studia ekonomiczne i socjologiczne.

— Wspomniał Pan o tym, że życiorys Pana stanowi w jakiś sposób o Pańskiej twórczości. Czy chciał Pan po prostu utrwalić swoje, nie zwyczajne, obserwacje i przeżycia — pisząc o nich?

— Nie. Ja właściwie w ogóle nie myślałem wtedy o pisaniu. Świadczy m. in. to, że pierwszą moją publikacją była, wydrukowana przez „Głos” w 1951 roku recenzja filmowa. Ale obok tego — na tych samych łamach — wydrukowano również moje opowiadanie. Byłem też przez kilka lat stałym recenzentem teatralnym „Kurier Wielkopolskie-

go”. Pracę pisarską zacząłem dopiero w 1954 roku. Napisałem wtedy opowiadanie na konkurs WRN — i dostałem IV nagrodę. Biblioteka Raczyńskich wydała to potem, wraz z dwoma innymi opowiadaniem, w tomiku pt. „Warkocze”. To była moja pierwsza książka.

— Potem przyszły następne: w 1959 roku — „Operacja Milczący Most”, w 1960 — „Śmierć nad Agfar-Wadi”, w 1963 — „Wyspa Maurycius i „Szkockie pożegnania”, a ostatnio — „Wronie uroczysko”. W wielu z nich nawiązuje Pan do przeżyć wojennych, ale jest to raczej tło, prawda?

— Z jednej strony pociąga mnie przygoda, zabawa — stąd powieści takie, jak: „Wyspa Maurycius” i „Wronie uroczysko”. Z drugiej — chyba najbardziej wciągają mnie moralne problemy człowieka, jak w „Śmierci” czy „Szkockich pożegnaniach”. Z wojny wyniosłem tyle pytań — bez odpowiedzi, tyle nie rozwiązanych spraw natury moralnej i psychologicznej, że próba jakiegokolwiek literackiego rozwiązania ich jest dziś głównym motorem, kierującym moimi wysiłkami i zainteresowaniami. Sądzę, że naczelną funkcję w prozie literackiej pełni jednak wyobraźnia, poparta osobistym doświadczeniem. Z nurtem, który nazwijmy „nurtem pytań etycznych”, czuję się związany najsilniej, ale

pierwszy, o którym wspominałem, jest dla piszącego jakimś niezbędnym odpoczynkiem.

— A Pańskie aktualne zajęcia twórcze?

— Jako ekonomiście i socjologowi z wykształcenia, nieobce są dla mnie sprawy, związane z funkcjonowaniem społecznego autorytetu, z jego źródłem i skutkami, jakie wywiera; słowem — jego załamywanie się w społeczeństwie. Nie wiem jeszcze, jaki kształt pisarski znajdzie aktualne rozważania. Poza tym wydaje mi się, że pisarz poznaje obecny świat nie tylko przez fakty i obserwację rzeczy, które go otaczają, lecz do istoty rzeczy dociera formą swego utworu, przez wielość punktów widzenia. W ten sposób łatwiej może objąć rozszerzającą się gwałtownie rzeczywistość. Tradycyjny sposób poznawania świata dziś już nie wystarcza, jeśli znane są takie pojęcia, jak antymateria czy pole sił. I fizyka, i filozofia bardzo nam ten świat skomplikowały. Toteż twórca powinien zająć inne stanowisko obserwacyjne. Żeby nie popaść w zdecydowany konflikt pomiędzy światem nauk ścisłych a dziedziną wartości humanistycznych, literatura musi się, mówiąc najogólniej, unowocześnić.

— Może przejdziemy teraz do spraw związanych z Pańską dzia-

Dokończenie na str. 2

Jest to debiut prozatorski autora, który do tej pory dał się poznać jako poeta i pracownik naukowy katedry literatury polskiej uniwersytetu. Te dwie profesje ujawniają się na każdej niemal stronie „Pobytu”. Daje tu bowiem o sobie znać umiejętność poetyckiego widzenia i obrazowania rzeczywistości; daje o sobie znać erudycja literacka autora. Sposobną okolicznością ku temu stało się to, iż powieść Balcerzana traktuje o środowisku młodych artystów.

Narrator — poeta i student uniwersytetu poznańskiego — musi odbyć wędrowkę w przeszłość, do miasta, gdzie kończył gimnazjum, do Szczecina. Za sprawą wyjątkowo uczulonej wrażliwości poety ów czas przeszły przenika w czas teraźniejszy powieści. Powieść Balcerzana podnosi funkcję czasu do niezwykle go znaczenia. Ale nie tylko czas, problem czasu, staje się w „Pobycie” terenem eksploracji artystycznej. Równie istotnym polem dla ciekawości pisarza stały się tu również stany świadomości i podświadomości bohaterów powieści. A nadto — mamy tu do czynienia z wcale interesującym eksperymentem konstrukcyjnym i językowym.

Zasadę swojego eksperymentu podaje autor w komentarzu do pierwszej części swojej powieści: „Sądziłem, że wysubtelniając język wy powiedzi, stwarzam szansę pogłębie nia tego, co zapewne przedtem zbanalizowałem. Postanowiłem szukać rehabilitacji w słowach patetycznych, wieloznacznych. Przedstawić każdy fakt nie jako fakt, lecz symbol, za którym kryje się niewyraźny kosmos egzystencji. Być sobą, pomyślałem. Kimś naprawdę szczerym. Zazwyczaj szczerze kojarzyła mi się ze wspomnieniami trudnego dzieciństwa”.

Narrator — ów student i alter ego pisarza — udaje się więc do miasta swej młodości, aby odświeżyć i skontrolować swoje wspomnienia, aby nawiązać zerwaną niegdyś nie zależność intelektualną od przyjaciela, Mawki, ale owego Mawki nie spotyka. Właściwie nie wiemy, czy ten Mawka istniał naprawdę, czy to tylko wytwór fantazji. Ow Mawka — istniejący czy nie istniejący — zajmuje jednakże w powieści miejsce naczelną, tak dalece, iż odczuwamy wprost namacalność jego obecność, chociaż istnienie jego potwierdza jedynie uporczywa myśl o nim narratora oraz wyznania licznych jego kolegów.

Edward Balcerzan formułuje w swojej powieści idee, mif Mawki, trochę zbakierowanego kompozytora i artysty malarza, mif dyktatora — rzecz by można — mody i przywódcy duchowego, który nie jest, by najmniej postacią świetlaną, lecz tak sugestywną, że jego wyobraże-

nie, mif, idea stają się postaciami materialną. Czytamy gdzieś w powieści: „Idziemy w zbroi, w złudzeniu, że tylko to, co myślimy, jest realne”. Realne istnienie Mawki staje się więc nieistotne. Perypetie, jakie rozgrywają się wokół idei Mawki, okazują się bowiem tak ważne, że one zajmują w powieści pierwsze miejsce.

Jeśli więc ów forsowany przez narratora model głównego bohatera powieści nie pojawia się osobiście, bo to postać nierealna w pewnym sensie, to owe perypetie związane z mitem głównego bohatera stwarzają wrażenie realnych. W każ

Feliks Fornalczyk

Powieść Edwarda Balcerzana

dym razie — wraz z narratorem — odwiedzamy realne zakątki Szczecina, ulice, parki, mieszkania... Uczestniczymy w skojarzeniach wyobraźni rozbudzonej pobylem w mieście młodości narratora. Przeżywamy zdarzenia przeszłe i obecne. Śledzimy przenikanie się czasów, płaszczyzn obserwacji, względności i zależności wyobraźni i krytycznej refleksji. Przeszłość utożsamia się z pamięcią, czas przyszły z wyobraźnią. „Tylko teraźniejszość tworzy czas istnienia”.

„Pobyt” to wszak umowny, symboliczny i metaforyczny. Świat, w który nas wprowadził autor, stanowi dziwną mieszaninę poezji, rozyślan i realności. Świat to zatartych granic tradycyjnych podziałów. Wszystko tu jest możliwe, wszystko się stać może... Stać się może bo i ludzie w tym świecie zostali pomyślni inaczej. Z ich działań wyłączone zostały mechanizmy rozsadku, umiejętność oceny dobra i zła; są to ludzie z zewnętrznymi jedynie cechami ludzkimi, którzy nie są podporządkowani samokontroli. Owo rozkojarzenie świata ducha i materii jest chyba najważniejszym wynalazkiem autora „Pobytu”, ale służy do wywoływania smutnych refleksji.

Owa więc niewspółzależność i dwoistość natury człowieka wydaje się być naczelną myślą powieści Edwarda Balcerzana. Niewspółzależność przypadkowa, wymyślona przez autora na ten jeden raz, na ową wyprawę i pobyt w świecie nie

często odwiedzanym, a pasjonującym. Człowiek, natura ludzka — zdaje się mówić autor — jest skomplikowanym urządzeniem psychofizycznym. Czemu by — wzorem analityków, badaczy mikrokosmosu i nowszych powieściopisarzy — nie zafundować sobie takiej wyprawy, takiego eksperymentu? Balcerzan idzie tu po śladach innych eksperymentatorów powieściowych, ale ich nie naśladowa — on ich prze-drzeżnia, kontroluje, karykaturuje...

Poetycki i naukowo-literacki staż Edwarda Balcerzana okazał się w tym przypadku bardzo pomocny. Powieść „Pobyt” nie jest łatwa w lekturze, nie ma bowiem tradycyjnej fabuły, ale literatura przecież składa się z różnego rodzaju pięt trudności. Edward Balcerzan już swoim pierwszym utworem prozatorskim rozstawił rusztowania pod wysoką budowlę. W „Pobycie” uka zał w miniaturze sprawy o szerszym znaczeniu; posługując się różnorodnymi maskami i stylizacjami, zaprezentował wielość twarzy i wcieleń ludzkiej natury oraz związki, w jakie wchodzi człowiek w trakcie życia społecznego. Ukazał zarazem fałszywość postępowania i dążeń, uwarunkowanych jednostronnie. Bo powieść Balcerzana jest książką przekorną, polemiczną...

Pewnie, trudno przeceniać wszelkie zawarte w niej przekonania autora, ale też nikt tego od nas nie wymaga. W tym, przykładowo wybranym, fragmencie eseizacja powieści wyznacza fałszywe kierunki dociekliwości intelektualnej. Przytoczmy ów fragment: „Każdemu się układa w myślach jakaś „powieść”. (Kto wie, czy jej wartości nie można by mierzyć wartości przeżytej biografii?) Nie wiem, czy pewne „życiowe” problemy nie są czasem do zbadania środkami poetyki? Czyż, na przykład, teoria motywacji nie jest sui generis filozofią odwiecznych konfliktów człowieka?” Ale na pewno coś w tym jest! Jest w tym miara ambicji przedsięwzięcia pisarskiego Edwarda Balcerzana, szukającego stylistycznych odpowiedników dla tego, co trudno jest wyrazić.

Wielce pomocną okazała się tu technika montażu filmowego; autor nazwie to „bzikiem filmowym”. Zapewne nie wszystkie sekwencje tej powieści — filmu są nieodzowne, zapewne niektóre fragmenty są — mi mo dążenia do syntezy — przegadane, a przez to niejasne i nieuzasadnione, ale mimo to powieść Edwarda Balcerzana „Pobyt” należy do najciekawszych książek roku 1964, napisanych przez poznańskich autorów.

Edward Balcerzan: „Pobyt”. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1964, str. 219 + 3 nłb.

Eugeniusz Paukšta

Z rodzimych nowości

Oby przez cały rok tak nam sy-pało, jak na przełomie grudnia i stycznia. Półka recenzentka wypełniła się bowiem bez reszły...

Z atrakcyjnymi nowościami wystąpiło Wydawnictwo Morskie. Na czoło wysuwa się pięknie wydana, monograficzna, nowatorska praca **Edmunda Kosiarza: „Bitwy morskie”**. Jest to pierwsza w naszej literaturze, a właściwie nie mająca precedensu i w świecie próba zobrazowania przemian w działaniach bojowych na morzu od ery starożytnej aż po działania w trakcie drugiej wojny światowej. Floty wiosłowe, żaglowe, wreszcie parowe, to okres rozwojowy właściwie do pierwszej wojny światowej — dopiero później następuje okres innowacji aż po wprowadzenie atomu w dniach współczesnych. Masa ilustracji, zestawów, charakterystyk. Książka miejscami pasjonująca jak najbardziej przygodowa powieść.

Dobrze się stało, iż wydano dwutomową sagę — **„Krwawy sztorm” i „Złote klucze” — Augustyna Necia** (opracowanie literackie F. Fenikowskiego) z czasów polopu szwedzkiego na Kaszubach. Autor, głośny narrator i pisarz kaszubski, w nader intrygującej akcji ukazuje wierność i bohaterstwo ludu kaszubskiego w tym okresie dziejowym, odsłania nieznane historyczne szczegóły, poszerza w niejednym znajomość złożonych spraw ówczesnej Polski. Najbardziej wszakże ujmujące bezpośredniość, ubarwiona folklorem prostota tej gawędy czy rozpowieści, odmienność normalności literackiego dzieła, ale nie naiwna jakaś naciągana ludowość, odwrotnie, imponująca niemała kultura autora.

Edgara Milewskiego „Opowieści gdańskich uliczek” znęca niejednego zwłaszcza teleodbiorcę, są bowiem drukowanym wyborem tych doskonałych robionych, zgrabnych i pełnych serdecznego umiłowania rodzinnego miasta, poetycko nastrojowych komentarzy do obrazów ukazujących na małym ekranie. Zebrane w tomie imponują wiedzą autora, wiedzą, jaką wnieść można tylko ze zżycia się z jakimś miastem od dziecka, pociągając za ukrytą gdzieś w podtekście nutką liryczną, technieniem nieklamane-go sentymentu. Przyjemna, pogodna lektura, a przy okazji szansa nauczania się niejednego o Gdańsku.

I już tylko informacyjnie: nowe wydanie uroczej, pełnej humoru książeczki **Marji Pruszkowskiej „O dwóch wikingach i jednej wikingowej”**, niezbędnego dla zachowania pogody ducha podręcznika dla wszystkich wodnych włóczęgów, niekoniecznie nawet takich, którzy podróżują jachtami z Gdyni do Holandii, ale choćby i dla naszych rzecznych czy jeziornych trampów.

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej przedstawia nową książkę **Zbigniewa Flisowskiego „Łoś na południe”**, doskonale napisaną relację autora z peregrinacji w Indonezji i w Iranie Zachodnim w najpóźniejszym dla tego regionu okresie. Zarazem jest to i próba szerszego spojrzenia na Indonezję, z cofnięciem aż po II wojnę światową i staczane na zachodnim Pacyfiku walki, niemało tu

także relacji dotyczących ludzi i kultur, sporo przy tym cytatów i dokumentów przyłączanych in extenso. Dawno nie zdarzyło mi się czytać książki napoły podróżniczej, aż tak bogato wyposażonej w dokumenty i informacje.

Polecić chciałbym także z wydawnictw MON-owskich nową powieść **Albina Siekierskiego „Pół godziny przyjaźni”**, której akcja rozgrywa się w jednej z jednostek powietrznodesantowych WP, pośród tzw. „czterwonych beretów”. Książka napisana jest żywo, z zacięciem, z dobrym wy-czuciem niuansów psychologicznych, a zwłaszcza bez nudnej dydaktyki, jakże często straszącej w tego typu utworach. Po prostu dobra powieść, przybliżająca nieco czytelnikowi nie-latawa służbę w legendarnej jednostce.

A teraz parę nowości „Czytelnika”. Na pierwszy plan pragnąłbym wysu-nąć i szczególnie gorąco zalecić, nie tylko zresztą młodym czytelnikom, choć z intencją głównie o nich rzecz jest pisana, książkę **Kazimierza Koźniewskiego „Tydzień do siódmej po-tegi”**. Jest to doskonały, upstrzony bez reszły kapitalną przygodą, jak gdyby przewodnik po Czechosłowacji. Przejęci atrakcyjnością fabuły, losami podróżników spod znaku zielonej granicy, ani spostrzegamy, jak wchłaniamy masę wiadomości i to z kategorii nie tych banalnych, o sąsiedzkim kraju. Rzecz przy tym napisana świetnym językiem, z wielką kulturą i z nie lada umiejętnością konstruowania sensacyjnej fabuły.

Przydaje się, jak widać, rejsy pisarzy polskimi statkami dalekomorskimi. **Marian Promiński**, niewątpliwie jeden z najlepszych i najciekawszych naszych prozaików, przywiózł w efekcie takiej podróży ciekawą powieść **„Marynarze”**. Dużo tu szerokiego morskiego oddechu, wcale niebanalna fabuła z romansem i filiflami, z egzoty-ką dalekich portów, z sensacją tajemniczego rozbicia, nade wszystko zaś świetnie ukazany klimat życia marynarskiego na statku. Powieść ciekawa przy tym w swym nurcie psychologicznym, w której to dziedzinie Promiński zresztą jest majstrzem pierwszej klasy.

Skoro już o podróżach mowa, to w „Czytelniku” też ukazała się ciekawa opowieść biograficzna **Eugeniusza Gołębiowskiego „Kapitan Cook”**, wcale udana próba ukazania w oparciu o źródła a zwłaszcza o zachowa-ny dziennik wielkiego odkrywcy i awanturnika zarazem, jego życiorysu rzuczonego na bujne tło XVIII wieku, okresu gruntowania potęgi morskiej i kolonialnej Imperium Brytyjskiego. Akcja jest nader sensacyjna, na do-datek ubarwiona szeroka panorama niemiłej sensacyjnej polityki i obyczajów, styl jedyny, żywy, w sumie zatem lektura świetna, godna zalecenia.

I na ostatek informacja: ukazało się kolejne, trzecie wydanie ciałe poszukiwanej powieści **Tadeusza Konwickiego „Rojsły”**, mieszczacej w sobie kawał niemały relacji o trudnym, minionym czasie ostatnich miesięcy wojny.

Z KSIĄŻKA NA TY

PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI

Dokończenie ze str. 1

talnością organizacyjną pisma kulturalnego w Poznaniu i jakie Pan — jako jeden z redaktorów — wiąże nadzieje z jego ukazywaniem się?

— Zawsze mnie bardzo żywo interesowała działalność publicystyczna, recenzyjna, ale najbardziej chyba społeczno-organizatorska. Może to „spadek” po moim ojcu, który był również działaczem społecznym i wydawcą (w 1936 roku opublikował on w Przemyśle, własnym sumptem

zresztą, pierwszy i jedyny „Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej”). Pracowałem już także w czasopiśmie — w „Ziemi i Morzu”, wychodzącym w Szczecinie oraz w „Tygodniku Zachodnim”. Nasze nadzieje sprowadzają się oczywiście głównie do tego, by nowe pismo stało się trybuną dla poznańskiego środowiska kulturalnego i naukowego, które chyba jako jedyne w kraju było jej ostatnio pozbawione. Ma to być miesięcznik społeczno-kulturalny, którego główną ambicją będzie prezentowanie najbardziej warto-

ściowej myśli twórczej i naukowej. W ten sposób pragniemy ujawnić te siły, które tkwią w Wielkopolsce, a są zapoznane. Z drugiej strony bardzo nam zależy na stworzeniu u czytelników nawyku stałego obcowania ze współczesną twórczością i wiedzą zarówno humanistyczną jak i ścisłą. Słowem pismo spełni, jak się wydaje, swą rolę, jeśli odpowie na pytanie nurtujące w społeczeństwie człowieka.

Rozmawiała:

WANDA CHILA



O POSTĘP EKONOMICZNO-TECHNICZNY

Członek Biura Politycznego KC PZPR **Eugeniusz Szyr** jest autorem artykułu **„O postęp ekonomiczno-techniczny w gospodarce materiałowej”**, zamieszczonego w „Życiu Gospodarczym”. Autor przedstawia dotychczasowe rezultaty związane z usprawnieniem systemu planowania i zarządzania oraz kierunki, w jakich zmierzają dalsze usprawnienia gospodarki materiałowej. Stwierdza w związku z tym m. in.:

„Jeżeli potrafimy obniżyć normy zużycia materiałów i poprawić gospodarkę zapasami, wprowadzić nowe tworzywa sztywnej niż to przewidują obecne projekty — wówczas uzyskamy także pokrycie dla wyższych zadań produkcyjnych postulowanych przez zakłady przetwórcze. Oznacza to będzie podniesienie produkcji, obniżenie jej kosztów i — co jest naszym głównym celem — poprawienie zaopatrzenia ludności, podniesienie poziomu życiowego mas pracujących.

MEIN GOTT

To tytuł felietonu **Hamiltona**, który tegotygodniowe „Perswazje” w „Kulturze” poświęca sprawie wizji lokalnej przeprowadzanej w Oświeci-

miu przez ekipę sądu frankfurckiego. Autor pisze m. in.:

„Ekipa sądu frankfurckiego, która przeprowadzała na terenie Oświecimia wizję lokalną, już wyjechała, wyjechali obserwatorzy i dziennikarze; byli zdumieni. Mein Gott, mein Gott — powtarzał sędzia Hotz nad stosem bucików dziecięcych. Trudno zrozumieć: im trudno zrozumieć, że to wszystko jest rzeczywistością, nam trudno jest zrozumieć, że ta rzeczywistość może być dla kogoś rewelacją. (...) Mein Gott, mein Gott — powtarzał sędzia Hotz patrząc na górę bucików dziecięcych. Ale kierownicy polityki NRF, ciągle przedstawiają nam jakieś rachunki krzywd, jakieś długi, które trzeba spłacić. Ograbiono miliony ludzi z tego co najcenniejsze z życia, dziś żąda się zwrotu jakichś terytoriów. Ograbiono miliony ludzi z praw, z wyjątkiem prawa do śmierci, wprowadzono bezprawie, które trudno z czymś porównać, dziś powołują się na jakieś prawa. NRF powinna być ostatnim krajem gdzie zbrodnie hitlerowskie nie-gną przedawnieniem, ale NRF jest pierwsza. Sędzia Hotz zrozumiał — wierzę — potworną rzeczywistość Oświecimia. Ale musi ją zrozumieć — we własnym interesie — całe, tak bardzo zniewolone swą wolnością, społeczeństwo NRF.”

SPRAWY GŁÓWNE ZMS

„Walka Młodych” zamieszcza rozmowę **Jerzego Kochańskiego z nowo wybranym przewodniczącym Zarządu Głównego Związku Młodzieży Socjalistycznej Stanisławem Hasiakiem**. Mówiac o głównych kierunkach pracy ZMS, St. Hasiak stwierdza m. in. potrzebę ściślejszej niż dotychczas współpracy między wszystkimi związkami młodzieży:

„Do kombinatów w Puławach, nie tylko w Puławach, ściągają młodzież bardzo często wprost ze wsi, tam zdobywa ostrogi fachowców, ale zanim to nastąpi, zanim zmienią się w robotników, upłynie sporo czasu — mówi St. Hasiak. Pytanie kto — ZMW czy ZMS — winien przysparzać tę młodzież do siebie. Nie patrzmy formalnie, bo przecież nie można tej młodzieży pozostawić sam na sam ze zmianami w psychice, jakie towarzyszą przejściu z pola na budowę. Niby już robotnik a jeszcze chłop. Często z legitymacją ZMW. Co ma robić po pracy, wtedy gdy dom, środowisko daleko. Tego rodzaju zjawiska każą zacieśniać współpracę, zwłaszcza że przecież front ideowego wychowania jest wspólny.

O TELEWIZJI WSZECHSTRONNIE

Pierwsze w tym roku wydania czasopism szczególnie dużo uwagi poświęcają naszej telewizji.

W „Polityce” **Kazimierz Koźniewski** zamieszcza artykuł pt. **„W poszukiwaniu traconego czasu”**. Jego zdaniem słabość programu telewizyjnego jest to, że nudzi ona przeciętnego odbiorcę.

„Program telewizyjny — pisze autor — nie wtedy jest zły, gdy nie zaspokaja aspiracji intelektualistów, ale wtedy, gdy obywatel Kowalski zamyka znużony to wielkie pudło, czy robotnik-mechanik (posłużyć się przykładem z ostatnich lat, z kręgu osób mi znanych), do tego specjalista właśnie od techniki telewizyjnej, sprzedaje swój aparat, gdyż programy go coraz bardziej nużą. (...) Telewizja ma rację, gdy skarży się na brak pieniędzy na programy. Ale przecież program że źle ob-sadzonym prelegentem dukającym z kartki swój odczyt kosztuje dokładnie tyle samo ile program z

dobrym wykładawcą. (...) Rzecz nie tylko w pieniądze: rzecz w doborze ludzi.”

W „Życiu Gospodarczym” w artykule **„O telewizji raczej ekonomicznie”** **Zygmunt Zonik** zwraca m. in. uwagę na sweego rodzaju paradoks:

„Wysoka dochodowość telewizji idzie w parze z nienadzwyczajną jakością programu, przy czym często owa nienadzwyczajna jakość usprawiedliwiana jest... brakiem pieniędzy. (...) Jeżeli zgadzamy się z tezą poprawy jakości programu nie sposób nie aprobować decyzji, które by spowodowały zwiększenie sum na przygotowanie programu.”

W „Tygodniku Demokratycznym” na temat filmów w telewizji pisze **Leszek Goliński** w artykule **„Gdyby Zorro był Polakiem...”**

W „Kierunkach” **Zbigniew Dołęcki** w artykule **„Rozmyślanie przy telewizorze”** pisze krytycznie o sytuacji programowej polskiej telewizji.

ZIEMIA KALISKA TYGODNIKIEM

Wychodząca dziewiąty rok **„Ziemia Kaliska”** (dotychczas dwutygodnik) jest od nowego roku tygodnikiem, obejmującym — jak dotychczas — swym zasięgiem wschodni region województwa poznańskiego: powiaty Kalisz, Koło, Konin, Turek. W nocie wstępnej redakcja zapewnia swych czytelników, że doloży wszelkich starań, aby nowy tygodnik był rzeczywistym odbiciem życia regionu Wielkopolski we wszystkich jego przejawach.

LEKTOR